

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

O Janku-złoŃniku i Wikci-plaksie.

"Więc jeśli skrzydeł nie macie,
"To powiedzcie, jak fruwacie?"
— "Też, niemądre zapytanie,
"Niepotrzebne nam fruwanie."

Piskłeta się z cicha śmieje,
Wikci z oczu lzy się leje.

"Wiesz co, mnie się niepodoba,
"Ze ty, Janku, nie masz dzioba."

Mówi znów drągi bocianek.

Oburzył się na to Janek:

A bocian znówu powiada:

"Klekotać sztuka nielada,

"Nie posiadasz ty jej, widzę.

"Wiesz, ja się za ciebie wstydzę.

"Może jednak na tym świecie,

"Jest coś, co ty umiesz przecie?"

"Umiesz stać na jedn-j nodze".

Rozgniewał się Janek srodze

I biczykiem, rozszoszczony,

Jał machać na wszystkie strony,

Krzycząc: „brzydkie bocianięta,

"Co ja umiem, popamięta

"Każde z was!" Boćki struchlały;

Janek trząsł się z gniewu cały.

Na szczęście przybyły stare,

Miały w dziobie żabek parę,

A znając się na grzeczności,

Najprzód częstowały gości.

Lecz Janek mówi „Bocianie,

"Toż my nie jesteśmy w stanie

"Jadać żabek na surowo,

"To niesmacznie i niezdrowo.

"Wiedz, bocianie, nam potrzeba

"Mięsa, mleka, sera, chleba."

Słyszac to, choć im życzliwa,

Bocianowa głową kiwa,

Mówiąc: „Mój mały chłopyku,

"Ty masz grymasów bez liku.

"Dziwne są twe wymagania.

"Nie taka kuchnia bociania.

"Kto w bocianiem gnieździe żyje,

"Masi jadać żaby, żmije."

— „Kiedy ja się boję węży!

— „Głód twą bojaźń przezwycięży,

"Alem ja nie rada bardzo,

"Ze goście mają kuchnią gardzą."

Słyszac to Wikcia zaczyna

"Znowu płakać. — „Ta dziewczyna

Mówi bocian, — „mnie oburza.

"Wciąż płacze, choć taka duża.

"Jakieżż leż twoich powody."

— „Jabym chciała trochę wody."

— „A toż spojrzij tylko w górę,

"Widzisz tam tę czarną chmurę,

"Deszczu spadną wnet strumienie

"I spełni się twe życzenie."

Oj spełniło się, spełniło!

Bocianiętom było miło:

Napiły się, wykapały,

Z deszczu piórka otrzepały,

Ale naszych małych gości

Deszcz przemoczył aż do kości,

Zniszczył całkiem ich ubranka.

Idąc za radą bocianka,

Rozebrały się dziłateczki,

By wysuszyć sukieneczki.

By dopełnić nieszczęść miary,

Nadleciał wtem bocian stary,

A ujrawszy z każdej strony,

Jakiś przedmiot zawieszony,

Krzyknął: „co to wszystko znaczy?"

"Niech kto odpowiedzieć raczy.

"Ja nie znoszę nioporządku,

„A zaś teraz w każdym kątku
 „Jakieś szmaty i odzienie:
 „Nie, to istne utrapienie.
 „Precz z tem, ja nie znoszę śmierci,
 „Wszystko to na dół poleci.
 „A co prawda, to z ochotą,
 „I was wrzuciłbym w to błoto.“
 Wikcia szepece: „O mój bracie,
 „Lepiej było w naszej chacie!
 — „Oj lepiej, Wikciu kochana.
 „Wiesz co? poprośmy bociana,
 „Aby zaniósł nas do chaty,
 „Do naszej Mamy i Taty.“
 Posłyszal bocian te słowa;
 „Zgoda — rzeknie — bocianowa
 „Weźmie Wikcie; ty, chłopczyku
 „Bez halasu i bez krzyku
 „Usiądziesz na moim grzbiecie,
 „Zaniesiemy was, gdzie chcecie.“
 Siadły dzieci, i po chwili
 Wszyscy się w powietrze wzbili.
 Droga była to daleka,
 A gromadka pisklat czeka,
 Więc bociany się spieszyły,
 Dzieci kominem wrzuciły.
 Szczęściem Janek i Wikteczka
 Wpadły prosto do łóżeczka;
 Znow są w domu. I, o dziwy,
 Janek taki jest szczęśliwy
 Między swemi, że chłopczyzna
 O swych gniewach zapomina;
 A Wikteczka uchemiechnięta
 Wyciąga małe rączkę,
 Wita wszystkich, nawet Kruczka.
 Oj, nie poszła w las nauczka.
 Teraz wiedzą już dzieciny
 Ze najlepiej wśród rodziny.
 K o n i e c.



Upał, deszcz i chłód.

Bajka.

(Dokończenie.)

Kwiaty i drzewa powitały ją radośnie, więc popłynęła ku mieszkańcom ludzkim, ku łąkom wyłożonym i wieś całą aż po dach dzwoniły zanurzyła w srebrnej kąpieli.

— Niech-że się ochłódzą i te kamienie szare i te cegły spekane — myślała i cieszyła się, że

ją ludzie przyjmą serdecznie, że ucieszą z jej przybycia.

— Ale omyliła się biedaczka — tylko bładania i narzekania posypały się z ust ludzi i szły z ziemi przez tumany wilgotne.

— Ach, jaka ta mgła zimna! Zkądże znów się wzięła? Już lepszy był upał! Zeby już raz sobie poszła ta szkaradna, brudna mgła. Tylko nam pracować przeszkadza!

Oburzyła się mgła. A już najbardziej uraziła ją ta nazwa: „szkaradna“. Ona szkaradna! Ona taka śliczna, przejrzysta, z oddechu ziemi i westchnień kwiatów urodzona.

Jacyż niewdzięczni ci ludzie!

Pogniewała się mgła i pofrunęła w górę do swych starszych sióstr, perłowych chmurek, co niby stada ptaków żeglowały hen, wysoko... wysoko...

Między chmurami mieszkał deszcz, wiecznie zaszępioty i gniewny. Mgła opowiadała mu o niewdzięczności ludzkiej.

— A to tak, — zapluskiał deszcz — oni zawsze tacy. Zaraz ja im dam za te wieczne narzekania, za to próżniactwo. Najlepiej skórę im przetrzepać! Nie podobały się wam [promienie słońca, nie podobała się mgła delikatna, no, to się ze mną poznacie.

I jak nie trzepnie deszcz co sły — to wnet zamroczyło się wszystko wokół.

Stały zniwa. Czerniały i gniły złote pokosy na polach, padały na ziemię kraśne jagódki deszczem strącone, — porykiwało przeciągle bydło po oborach i zagrodach, a ludzie łamali ręce i, patrząc w czarne, nieprzejrzane, jak przepaść niebo, wołali:

— Mój Boże! zboże nam gnieje na polu, cóż jeść będziemy?

Wzbierały im oczy łzami, niby ołów ciężkimi, łzami troski i rozpacz.

— Za co nas Bóg tak karze? — powtarzali.

A tymczasem deszcz siekł i siekł niezmordowanie.

Byłoby pewnie wszystko zboże zgniło, byłiby pewnie ludzie pomarli z głodu, ale na szczęście deszcz się w końcu zmęczył.

Już mu sił zabrakło, odszedł więc na odpoczynek, a po drodze pomrukiwał:

— Dobrze wam tak, macie teraz za swoje!

A biedni ludzie przestali już jęczeć i szlochać, bo wielki smutek cichy jest zawsze. Więc tylko chylili głowy i milczeli. Nawet jaki taki myślał:

— Śluszna kara na nas spadła — śluszna!

Po deszczu przyszedł chłód, właśnie go tam upał z jakiegoś kąta wypędził, — więc przywędrował tutaj.

Ale nie przywędrował sam. Znalazł towarzysza. Był nim wiatr wschodni, słynny zawa-

djaka i zawierucha. Od ciągłego kręcenia się i szamotania ciągle był spragniony, więc jak usłyszał, że pola i ogrody pod wodą stoją, zaraz sobie pomyślał:

— Aha! w to mi graj! Dopiero będę miał używanie.

Zaczęło się używanie, a zarazem robota.

Po mokrej ziemi, po nasiąkłych wodą łąkach, po zbitych pokosach biegły ostre podmuchy wiatru i pily chciwie wilgoć.

I chłód nie zasypiał sprawy. Wcisnął się do mieszkań, wkręcał się pod odzież, wsuwał w każdą szczelinę, a wciąż napędzał ludzi do pracy. Ciągłe tylko słychać było jego wołanie:

— Prędzej, prędzej, ino im się spieszyć, ino nie marudzić. Wiecie, kto za mną idzie? Oto mróz i śnieg. Niech tylko oni się ukazą, a na wszelką pracę będzie zapóźno. Śnieg wszystko pogrzebie, mróz skuje ziemię łańcuchami, i do chat waszych się wędrze i serce w bryłę lodu będzie chciał obrócić.

A już wtedy śmierć dla was nieuchronna. Więc póki czas, nie marudźcie, pracujcie, ile sił starczy. Może się co jeszcze ze straconych zbiorów ocali?

W ten sposób chłód upominał ludzi.

I dziw nad dziwy — wraz z chłodem ostrym, wraz z wiatrem świszczącym, otucha wstępowała w serca ludzkie.

Podnosili spuszczone głowy — zgasłe źrenice budziły się i gorzeć zaczynały.

A nie jeden, nie dziesiąty szeptał sobie w duszy:

— Ha, cóż robić. Co się stało, nie odstanie. Może zresztą i słuszna była kara? Teraz do roboty? Porosło nam zboże, lecz z tego chleb upieczemy — pognuło siano, więc słomą będziemy karmili bydłatka — rozmiękły ściany chaty, podeprzemy je choć ramieniem własnym, a ręk beczynnie nie opuścimy!

Jadwiga Chrzaszczewska.



Baśń o ciekawym królewicu.

I.

Był jeden król bardzo bogaty, miał syna, którego z całej duszy kochał. Dał mu połowę

swego królestwa, sto przesłicznych koni, złota pełne skrzynie, i kazał mu przywieźć najpiękniejszą księżniczkę za żonę. Ale królewic niczego nie chciał, królewic był blady, smutny, zawsze chodził zamyślony i martwił tem swego ojca. Aż nakoniec jednego razu nie mogąc wytrzymać, rzucił się do nóg królowi i tak go zaczął prosić:

— Mój ojcie! już mi daleś wszystko, co mi dać mogłeś, a ja przecie weselszy nie jestem. Oto lepiej odbierz wszystko, a mnie pozwól, niech sobie w świat pójde, bo mi tu strasznie ciężko, nudno.

Król, słysząc tę mowę, załamał ręce i byłby płakał może, ale wy wiecie, że Bóg daje królom takie oczy, co nigdy nie płaczą i takie usta, co się wiecznie śmieją.

— Mój synu — rzekł do królewica — przez Boga! namyśl się, co tobie jest w głowie? Tu ci przecież najlepiej, tu wygodnie, tu ciepło, stół suto zastawiony, a dyamentów — jak kamieni w polu.

Lecz królewic ciągle odpowiadał:

— Ta mnie strasznie ciężko, nudno! Pozwól, ojcie, niech w świat pójde, niech zobaczę, jak to może być głodno, kiedy chleba niema. Pozwól, ojcie, może ja też gdzie do piękniejszego trafię królestwa, gdzieby ludzie nie umierali — bo cóż to wszystko znaczy, co my tutaj mamy: przyjdzie śmierć kościelna i wszystko jej, nie nasze będzie.

Tak długo, długo prosił królewic, że aż na koniec musiał mu król pozwolić według tej dziwnej chęci działać. Dał na drogę synowi przepyszne konie, worek pełen dukatów i starego sługę żołnierza, który niegdyś królewskie dziecko na swoich rękach wypasował.

Piękna księżniczka stała w oknie, a udawała, że niby płacze za wyjeżdżającym królewicem.

Król najkosztowniej swoje skarby wyniósł przed próg domu, ażeby ich widokiem przywabić oddalającego się syna; nie nie pomogło. Ruszył królewic z przed ojcowskiego zamku, aż go taki obłok kurzu zasłonił, że w nim tylko niekiedy migały złote końskie podkowy, a stary żołnierz jak mól, pędził za nim na swoim małym czarnym koniku.

Jechali try dni i dwie noce, a trzeciego wieczora wjechali w ogromną, w ogromną puszcę. — Była to taka rozległa puszcza, że ją ledwo przez dziesięć lat, i to ciągle galopem jadąc, można było wzdłuż przejechać. A dokoła ciemne sosny rosły, a nigdzie ogień, choćby w najbiedniejszej chalupie, nie zaświecił, a dla koni i odrobinki trawy nie było, a wieczór zapadał, noc ciemna się zbliżała. Och! wtedy stary żołnierz okropnie się przeląkł i powiedział do królewica:

— Mój panie, mój panie, wróćmy się do domu.

Lecz królewic mu odpowiedział:

— Wróć się ty sam, mój pocztliwy żołnierzu,

bo gdybym nawet jutro miał tu umrzeć, to dziś już w tył się nie wrócę, a jednak wiesz dobrze, że ja nie chcę umierać.

Zołnierz smutnie spuścił głowę i jechał dalej za królewicem, bo go nie chciał w takiej złej godzinie opuścić. Już dobrze się w puszcze zagłębił, gdy zmęczony a słaby koń żołnierza stanął. Żołnierz zsiadł z niego i piechotą przy królewicu biegł, istnie jak wierny pies przy swoim panu. Aż dopiero królewic, spostrzegłszy to, sam zsiadł z konia i rzekł znowu do sługi:

— Mój poczciwy żołnierzu, weź ty mego konia i moje złoto, a wracaj sam sobie do ojca króla; naco tobie marnie z mojej przyczyny ginąć?

— Panie, panie — odpowiedział żołnierz na to — gdzieżbym ja śmiał bez ciebie się pokazać twemu ojcu królowi?

A królewic odpowiedział mu:

— Odprowadzisz konia i powiesz, że ja do najśliczniejszego wjechałem kraju i ciebie z tą wiadomością posyłam. — A żołnierz rzekł znowu:

— Panie, panie, jakżeż ja bym mógł ciebie samego w tak złej doli zostawić, a toczy mi się chyba serce z żalu rozpękło. — A królewic, już trochę zniescierpliwiony, odpowiedział żołnierzowi:

— Wracaj się prędko, żołnierzu, bo ja ci mówię, że zaiste jeden tylko z nas przejść tę puszcę może, a, przez wszystkich świętych, ja się już nie cofnę. Wracaj, wracaj, mój wierny żołnierzu, jeśli mnie samego nie chcesz na wielkie wystawić niebezpieczeństwo. Tobie niepodobna i niepotrzebna rzecz ta podróż, a mnie ciągle coś szepce do ucha, żeby iść dalej, a dalej.

Rozpląkał się stary żołnierz, królewic mu dał pieniądze i konia, uściskali się potem jak dwaj bracia i żołnierz pojechał tą samą drogą, którą do puszczy przybyli, a królewic naprzód poszedł. Królewicowi było na koniec i głodno i chłodno, jednak dalej postępował.

Szedł, szedł długo, aż w tem spotyka trzech złodziei, bardzo się z sobą kłócących. Jeden złodziej uchwycił królewica za rękę i okropnym głosem odezwał się do niego:

— Oto widzisz, człowieku, nas tu jest trzech i mamy trzy rzeczy, na których podział zgodzić się nie możemy. Mamy taki koc, że jak się kto nim przykryje, to nikt go wtedy z ludzi nie zobaczy — dla złodziei i złodzieja jakież to wielki skarb!

Ale mamy jeszcze takiego konia, co po powietrzu lata i tam każdego niesie, gdzie tylko mu się rozkaże — dla podróżnych i śpieszących się, cóż to za dobro nieocenione.

Ale mamy jeszcze taką złotą galkę, która, kiedy się nią potoczy, to póty leci, aż tam się zatrzyma, gdzie skarb zakopany leży.

Dla wszystkich ludzi na świecie cóż to za pożądana wskazówka.

Oto powiedz, człowieku, ce któremu się należy — bo jak nas dobrze nie rozsądzisz, to pewna śmierć twoja.

Królewic pomyślał trochę i tak rzekł do złodziei:

— Mnie się zdaje, panowie złodziei, że wszyscy do wszystkiego macie równe prawo, ale ponieważ galka złota i najwięcej warta i każdemu z was najlepiej się podoba, więc pozwólcie, niech ja ją rzucę, kto najpierwszy dogoni galkę, to ją sobie weź nie, to ja sobie weźmie, kto drugi przybiegnie, będzie miał konia, a trzeciemu koc się dostanie. Podobno tak będzie najlepiej, nie mówiąc o tem jeszcze, że się galka przy zakopanym skarbie zatrzyma i że wam więcej złota do podziału przybędzie. (Dokończenie nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI.

I. Zagadka.

Skremny jestem kwiat-k,
Rosnę nad wodami,
Ni fiolek, ni blawatek,
Poznajcie mnie sami.
Pięć listków mam w sobie,
Barwy nie wymienię,
Często ludziom dobrze robię,
Budząc w nich wspomnienie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 24.

I.

W

N i l

M i n o g

B r a c i a w

K a m i e n i e c

W i n c e n t y P o l

K o n s t a n t y

A f r y k a n

K o p e r

N o s

I